Wydawnictwa rok 7.

Nr. 4. Lwów, 25. Maja 1884. **Rocznik VI.**

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Trybunalska Nr. 1.
ADMINISTRACYA i EKSPEDYCYA
Rynek l. 9., dokąd wszelkie należytości przysyłać należy.
Sprzedaż pojedyńczych numerów w Księgarni Polskiej przy pl. Halickim i w Księgarni oraz Antykwarni p. Leona Pordesa, ulica Trybunalska l. 1. jakoteż i w księgarni przy ul. Ruskiej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

WYCHODZI CO DRUGĄ NIEDZIELĘ.

Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski“ i „Strażnicę polską“ kosztuje kwartalnie:

we Lwowie (bez przesyłki)	1 zł.	50 ct.
„ z przesyłką	1 „	70 „
na prowincyi	1 „	75 „
za granicą	2 „	— „

Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Stała rubryka aż do skutku.

Zapytujemy Szanownych członków Rady stołecznego miasta Lwowa: Jak długo zasiadać jeszcze będą w gronie ich Dr. Filip Zucker, pokątny adwokat, i Karol Gromann, współwłaściciel „Gazety Narodowej“, którzy brali i rozdawali „Schweigdeldy“ za milczenie w nieuczciwej sprawie?

Zapytujemy Jaśnie Oświeconego księcia Karola Jabłonowskiego, kuratora „Fundacyi Skarbkowskiej“, jak długo takowa będzie jeszcze pastwą wszelkich wyzyskiwaczy, zniszczenia i rabunku?

Czy długo będzie jeszcze uszczęśliwiał Fundacyę swoją kuratoryą, i czy jest prawdą, że sprawił sobie pancerz ze skóry mastodonta, czy też rynocerosa tak grubej, przez którą się w żaden sposób nie można dopukać do jego osobistego honoru i czci potomka hetmańskiego?

Redakcya „Strażnicy pols.“

Od Redakcyi.

Odzywamy się do tych wszystkich Szan. Prenumeratorów, którzy tak upornie zalegają ze spłatą prenumeraty, aby raczyli uwzględnić, iż tak postępując zapominają o najprostszych obowiązkach, jakie winien spełniać każdy uczciwy człowiek. Na nikogo nie wywieramy nacisku, aby prenumerował nasze pisma, jeżeli ich jednak nie odsyła, mamy prawo żądać, aby płacił, a nie wyzyskiwał Redakcyi.

KRASZEWSKI i KRZYŻACY.

Postępując krok za krokiem w procesie Kraszewskiego i bacząc z wytężeniem na każdy epizod tegoż procesu, wyrobiliśmy sobie odmienne zdanie o tej sprawie od wielu innych, a nawet polskich publikacyj i zapatrywań. Szczególniej, zastanowiliśmy się nad tem, czy Kraszewski, gdyby rzeczywiście był działał jako ajent polityczny Francyi przeciw Niemcom, dopuścił się zbrodni stanu takiej, któraby nawet na charakter polski czy to osobisty Kraszewskiego lub też narodu, rzucała ujemne światło? Otóż pod tym względem jako Polak, w niczem on nie przyczynił się, aby cześć Ojczyzny jego na tem ucierpiała; a przeciwnie, księciu Bismarkowi należy się uznanie, za to, że dał Narodowi polskiemu świadectwo niczem nie dające się zabić — wielkiej miłości Ojczyzny i jej żywotnej przyszłości.

Gdyby kanclerz niemiecki nie czuł tej obawy, która jako patryocie Teutonii i potomkowi krzyżackiemu nie daje zasypiać spokojnie na zdobytych dotychczas laurach, gdy Polska jak duch Banka pojawia się z górą wiek cały z rozdartą piersią a żyje, to nie dziw, że rozwielmożnione potomstwo krzyżackie drzy na widok tego strasznego widma.

I cóż więc znaczą dyplomatyczne frazesa, że Polska jest już trupem dawno zgniłym, którego prochy nie ożyją, i nie zmartwychwstaną z pod ciężkiego, grobowego kamienia? Nic łatwiejszego, jak takie frazesa głosić urbi et orbi; ale gdy sumienie nieczyste czyni ciężkie zarzuty, to nawet taki żelazny kanclerz, potęga dziejowa swego narodu i spadkobierca idei krzyżactwa, drży ze strachu i nie waha się mścić nawet nad starcem, stojącym krok tylko od grobu.

A jakieżto ciekawe pojęcia o naginaniu praw natury, praw odrębności narodowych, które Bóg sam na ziemi, tworząc ludzkość, ponaznaczał. Jakież to dzikie pojęcia u takich krzyżackich potomków o mocy, za pomocą siły brutalnej wynarodowienia ducha i zabicia w nim odwiecznych ideałów, któremi naród żył, żyje i żyć będzie. Depcz go, dręcz, i odmawiaj wszelkich praw, poniewieraj i znieważaj wszystko co mu święte; wydzieraj z piersi mowę ojców, a tkaj mu tę, która mu wstrętna, dla tego, że wróg jego nią przemawia.

Jeżeli tak postępujesz, nie żądaj więc potem wiary w ciebie, nie żądaj: aby cię nazywano ojcem, nie żądaj nawet psiej uległości, bo pomimo grozy kija, i pies zanadto dręczony rzuci się na ciebie. — Pomimo to, Teutonizm i krzyżackie plemię kładąc potomkom Lecha i Piasta kolczastą obróżę na szyję, chce, aby ci potomkowie zlizywali mu z rąk krew ojców i braci Próżne to są jednak zabiegi, gdyż krzyżactwo takiego tryumfu nie odniesie nigdy, jak długo nie usunie z ziemi ojców naszych ostatniego starca i ostatniego niemowlęcia.

Wobec Kraszewskiego popełniono podwójną niesprawiedliwość i dano wyraz swemu własnemu tchórzowstwu, oraz braku wszelkiej szlachetności. Nikt Kraszewskiemu nie dowiódł albowiem, aby był chociaż ajentem politycznym, a tem mniej nie był on ani Hentschem, ani Adlerem. Cały żywot Kraszewskiego wystarcza mu na świadectwo, że kłamstwo nie wychodzi z jego ust, a stojąc już tak blisko grobu, nie kładzie on zapewne tak wielkiej wagi na ostatnie chwile, które mu jeszcze pozostają.

Gdyby rzeczywiście ożywiał go taki duch zemsty jaką mu żelazny kanclerz podsuwa, to miałby Kraszewski na tyle odwagi, aby się przyznać do tych czynów, któreby nawet wróg uszanować musiał i jak drugi Konrad Wallenrod, rzucając płaszcz swój mistrza krzyżackiego pod nogi Komturom, wyrzekł:

— „Oto są grzechy mojego żywota!“

Kraszewski jestto jednak za szlachetna postać, aby się uciekał do fortelów fałszu i kłamstwa. Zresztą, wiedział on o tem bardzo dobrze, że gdyby niewinność jego była tak jasną jak dzień Boży słoneczny, byłby pomimoto skazany. Że zaś męczennikowi temu nie zależy tak wiele na osobistej wolności, dowiódł tem, iż nie myśli się poniżyć do żebrania o łaskę u potomków krzyżactwa; potomków, gromionych na Psiem polu i pod Grunwaldem.

Tym jednym faktem Kraszewski urósł jak olbrzym wobec najzacniejszych polskich synów. — Tak jest — teutońsko krzyżacka siła jest za słabą, aby zabiła ideę polską i wydarła z piersi jej dziatwy to. co jej jest najświętszem i jakby przykazaniem Bożem.

Bismark siłą brutalną, nieszlachetną, nie skazał Kraszewskiego, ale Ducha Polski; ale czy go tem zabije, a przeciwnie nie podniesie, nie wzmocni, to wielkie pytanie. Niechaj się więc nie dziwi, że przez podniesienie i ukaranie wrzekomej zbrodni stanu, popełnionej przez Kraszewskiego, oddał idei polskiego narodu wielką usługę, gdy przyznał sam, że idea ta żyje, nie da się niczem pognębić i zabić, a przeciwnie, pomimo stuletniej katowni jest ona silną i niebezpieczną.

To balsam wskrzeszający życie w zbolałych i zwątpiałych duszach synów Polski. Ten starzec, który żywot swój pracowity na to tylko obracał, aby setki tomów spisać dla pokrzepienia zwątpiałego ducha, i w pracy tej nie wyszedł prawie poza granice Polski, będzie przez długie pokolenia żywym przykładem, jak Ojczyznę kochać należy, i że ona jest tylko dla Polaka czynem, na jawie i we śnie, od kolebki aż do grobu!

Kraszewski nie był rewolucyonistą, to fakt, ale pomimo to wierzył w zmartwychwstanie Polski, a więc dla niego tylko żył i pracował.

Mybyśmy jednak ośmielili się potomkom krzyżackim dać jedną radę, a to prawdziwie chrześcijańską, że: chcąc zabić Naród siłą brutalną, to zadanie nader trudne, a zaliczyć go należy pomiędzy mrzonki, czego dzieje nietylko Polski, ale i inne dowodzą wielokrotnie. Trudno żądać miłości tam u dziecka, jeżeli mu ktoś rozmyślnie matkę schowa do grobu; bo inaczej byłoby to dziecko wyrodne. Ale jest również rzeczą dowiedzioną, że Polacy pomimo wszelkich bolów jakich od kogoś doznawali, jeżeli dopatrzą się chociaż promyka cieplejszego i chociaż cienia sprawiedliwości, wtenczas umią być wdzięczni i wiele zapominają, bo taka już ich natura.

Polska rozdzielona została pomiędzy trzy zabory, z których jeden jest pod panowaniem Austryi. A moglibyśmy się odwołać nawet do świadectwa Monarchy, cesarza Austro-Węgier, czy Polacy są złymi Jego dziećmi? Czy Monarchia Austryacka może mieć jakąkolwiek obawę, aby Polacy dopuścili się względem niej zdrady? Dzięki Bogu, i Cesarz nasz nie znajdzie przychylniejszych i szlachetniejszych obywateli jak Polacy pod jego berłem. Gdy zaś zstąpi pomiędzy nich, nie potrzebuje ani kohort, ani straży bezpieczeństwa, ani innych środków ochronych, jak tylko piersi polskie.

Oto nowe świadectwo dziejowe, że Polacy pomimo, że się nie wyrzekną nigdy idei narodowej, umią jednakowoż być wiernymi tym, którzy im nie odmawiają praw ludzkich, nie wydzierają z piersi rodzinnej mowy, nie poniewierają wiarą i nie zabraniają Boga chwalić po dawnemu.

Dziś gdy pod panowaniem najszlachetniejszego Monarchy, nawet okrzyk duszny:

„Jeszcze Polska nie zginęła“ — nie jest uważany za zbrodnię, to wdzięczność Polaków, nie stanie się nigdy fałszem.

Niech tę naukę rozważą ci, którzy myślą, że ideę polską można zabić siłą brutalną. Przeciwnie, można tylko spotęgować nienawiść i uczynić ją bardzo niebezpieczną.

Co do Kraszewskiego, to prosząc Boga, aby mu dodał sił do wytrzymania i tej niedoli, przekonani jesteśmy, że mu znane jest zapewne więźniów polskich szczególniej z niemieckich fortec, kazamat i Mohabitów hasło nadziei, wypisywane na murach więziennych, w słowach:

„I to minie!“

Losy narodu leżą w ręku Boga, a jeżeli kto, to Kraszewski nie straci wiary w tę Łaskę Pana nad Pany.

Co im zrobisz!

W niedzielę po południu zwołane zostało walne zgromadzenie członków lwowskiej kasy zaliczkowej do wielkiej sali w ratuszu. Udział w tem zebraniu był liczny, gdyż każdy członek, lub mający styczność z tą kasą był ciekaw dowiedzieć się prawdy, o ile defraudacye są uzasadnione. Na to zebranie zgromadzili się prawie wszyscy

członkowie dyrekcyi i Rady zawiadowczej, a ci, którzy byli czynnymi funkcyonaryuszami, świdrowali po sali, usiłując osłabić nadchodzącą burzę. O godzinie wpół do 5. p. Teodor Kulczycki, nadradca rachunkowy, profesor buhalteryi przy uniwersytecie lwowskim, wiceprezes Lwowskiej kasy zaliczkowej, nietylko zagaił posiedzenie, ale miał tę cywilną odwagę, nie poprosić kogo innego na zastępstwo, lecz sam przewodniczył.

Powodem tego zebrania jak twierdził, była okoliczność, że główny dyrektor kasy zaliczkowej, p. A. Pilarski w nocy z dnia 3. na 4 b. m., a więc przed samem walnem zebraniem umknął ze Lwowa.

W przemowie swej, stwierdzając „nieporządki“ spowodowane dziwnym zbiegiem okoliczności, a to „z powodu dobrej wiary jego i innych członków dyrekcyi jakoteż Rady zawiadowczej do dyrektora Pilarskiego“ i z powodu nieszczęścia, którego się nikt nie spodziewał, — nie szczędził przekonywających dowodów, aby wmówić w członków, że stan kasy zaliczkowej lwowskiej nie jest bynajmniej rozpaczliwy.

Opierając się na jakichś cyfrach, twierdził, że aktywa towarzystwa przenoszą stan bierny w obecnej chwili o tyle, że zostaje jeszcze 12.259 złr. z w y ż k i. Że malwersacya uchodziła przez 6 lat jedynie dla tego, iż książki wykazywały (w których p. Kulczycki nieustannie pracował przez lat 10) 31.500 złr. zysku niewłaściwego; a że strata wyrządzona przez Pilarskiego może być pokrytą z funduszu rezerwowego, który wynosi 3.000 złr., i z udziałów, 46.100 złr., i że jeszcze z tych udziałów zostanie około 15.000 złr.

Zebrani przyjęli te wywody w głębokiem milczeniu.

Po nim zabrał głos p. L e c h, członek komisyi rewizyjnej, wyznaczonej przez patronat towarzystw zaliczkowych i zarobkowych, w któréjto skład komisyi wchodził także sam patron Dr. Tadeusz Skałkowski. Naturalnie, że sprawozdanie to, o ile w kilkunastu dniach mogła komisya przejrzeć książki od lat kilkunastu, a szczegółowo tylko od r. 1880, wypadło w zupełnie innem świetle, aniżeli uspakajające objaśnienia p. Kulczyckiego. Sprawozdanie p. Lecha przekonało zebranych, iż w lwowskiej kasie zaliczkowej odbywały się niezwykłe praktyki, i tak: ż e t y l k o księga kasowa od 1880 roku prowadzoną była w porządku (nader względnym, jak to przyszłość pokaże). Wszystkie zaś inne księgi, a mianowicie najważniejsza księga główna, były w n i e p o r z ą d k u. Usiłowano w niej wykazać zysk iluzoryczny, a dlatego p. Pilarski fałszował księgę główną. Nic to jednak nie przeszkadzało, aby mu komisye rewizyjne i Rada zawiadowcza nie udzielały absolutoryum.

Bilans za rok zeszły zestawiony przez komisyę rewizyjną przedstawia się tak:

S t a n c z y n n y, pożyczki na skrypta i weksle 228.317 zł.; zaległe procenta (od więcej niż 3 lat) 64.925 zł.; koszta procesów, należące się Towarzystwu od stron 14.004 zł.; fundusz rerwowy 3143 zł., gotówka w kasie 6328 zł., S t a n b i e r n y: Fundusz rezerwowy 3143 zł.; udziały członków 49.103 zł.; wkładki na książeczki 265.472 zł.; weksle 23.775 zł.; prowizya od wkładek 10,237 zł; niewypłacone dywidendy 681 zł. Porównawszy stan czynny z biernym, okazuje się niedobór w kwocie 34.405 zł. 6 ct. Jest to atoli tylko niedobór „książkowy“, jaki zaś niedobór jest w rzeczywistości, tego komisya zbadać nie zdoła i nie ma jasnego pojęcia, jakie są rzeczywiste straty. Na razie dociekła komisya, że powodem książkowego niedoboru w kwocie 34.405 zł. jest systematyczne fałszowanie bilansów przez cały szereg lat. Wobec tych faktów, wnosi komisya, że zgromadzeniu nie pozostaje nic innego, jak tylko stratę powyższą, w myśl §. 70 statutów, pokryć wpłaconemi udziałami członków, które wynoszą 46.000 zł., czyli innemi słowy: odpisać członkom te udziały, a nadto użyć na pokrycie niedoboru cały fundusz rezerwowy, wynoszący 3143 zł. W dalszem przemówieniu illustrował mowca gospodarkę dyrekcyi, której rezultatem deficyt wcale znaczny.

Po tem wyjaśnieniu p. N e u s a r e k zażądał od przewodniczącego p. Kulczyckiego wyjaśnienia, jakim sposobem od r. 1876. począwszy, można było fałszować bilanse wobec prezesa bardzo biegłego w sprawach rachunkowych i profesora buchalteryi przy uniwersytecie nadradcy rachunkowego, dalej wobec Rady nadzorczej, w skład której również wchodzili ludzie fachowi, i wobec komisyi rewizyjnej, które przecież z obowiązku swego miały dokładnie badać księgi i rachunki?“

P. prezes czerwienił się i bladł, przyrzekł dać odpowiedź później, czego jednak nie uczynił.

Następnie interpelował sprawozdawcę pana Lecha, J. N. Gniewosz, redaktor *Sztandaru pol.* i *Strażnicy pol.*, żądając następujących objaśnień, stanowczych i wyraźnych.

1. Czy komisya rewizyjna przekonała się, że bilanse były fałszowane od lat 10. a nawet dawniej.

P. Lech odpowiedział, że tak jest rzeczywiście.

2. Czy komisya spostrzegła, iż pomimo publikowanych corocznie bilansów, rachunki roczne były niezamykane?

P. Lech nietylko potwierdził to zapytanie, ale oprócz tego dodał, że nietylko rachunki roczne były niezamykane, ale zwykłe, codzienne zamykanie kasy t. zw. „Cassenabschluss“ po kaczynności żdodziennej nie był robiony, i często dokonywano tej nader ważnej pracy co kilka dni, co tydzień, albo zaledwie raz w miesiąc.

3. Czy dowiedziała się o tem komisya rewizyjna, że w portefeulu wekslowym znajdują się weksle przez wystawców popłacone, a takowe im nie zwrócone, pod pozorem, że „gdzieś się zapodziały“, a jak dosyć uzaśadnione pogłoski twierdzą, weksle takie mają być znowu w obiegu, a więc na szkodę wystawców.

P. Lech przyznaje i to, ale tylko o tyle, że się znalazł jeden weksel w portefelu już zapłacony; komisya miała zaś za krótki czas, aby mogła szczegółowo zbadać.

4. Czy nie weszła komisya na ślad, że w kasie zaliczkowej lwowskiej wydawano stronom książeczki na wkładki, lecz pieniądze złożone nie wchodziły do kasy, ani też były przeprowadzone przez książki, lecz tonęły w kieszeniach dyrektorów i funkcyonaryuszów.

P. Lech odpowiedział znowu, że czas był dla komisyi za krótki.

5. Czy komisya rewizyjna znalazł w książkach uwidoczniony „Oddział zastawniczy“, albowiem faktem jest, że tam dyrekcya, likwidator i kasyer, musieli być w zmowie i jeden tego nie mógł uczynić, jeżeli pożyczano urzędnikom różnym na zastawy arkuszy pensyjnych pewne kwoty, pobierając za to z góry od każdego złr. po 5 ct. m i e s i ę c z n i e prowizyi, (co czyni rocznie 60 prct.) a oprócz tego likwidator p. Szczypczyk brał za swoją fatygę od 50 złr. jak twierdził „p r a w n i e“ — po 2 złr.

A więc jest dowód, że dyrekcya kasy zaliczkowej lwowskiej trudniła się lichwą, za którą lichwiarzy żydów pakuje się do kozy.

P. Lech odpowiedział, że dział zastawniczy w kasie zaliczkowej lwowskiej wcale nie istniał.

Odpowiedź ta ostatnia zadowolniła zupełnie interpelanta, który zabrawszy znowu głos, powiedział, że wobec tak widocznych oszustw i fałszerstw twierdzi śmiało, iż zdefraudowane sumy sięgną niezawodnie do 140.000 złr., a bodaj czy nie więcej. Pilarski winien, nikt go nie myśli bronić; ale widoczną tu jest ta sama praktyka jak w Banku włościańskim, że tak samo jak tam widziano tylko Frieda i tu Pilarski ma być tym Friedem, a prezesi Jabłonowscy i Romaszkany mają znowu wyjść cało i drwić sobie z kraju w żywe oczy. Wobec takich faktów nie może być mowy o likwidacyi, ale należy zgłosić konkurs, z ł o d z i e j i i o s z u s t ó w pozamykać do kryminału, a majątki ich obłożyć bezzwłoki aresztami, bo inaczej nietylko straty nie będą pokryte, ale moralność publiczna na ten ucierpi, jeżeli złodzieje i oszuści będą chodzić swobodnie po ulicach, a w dodatku szydzić z obdartych

Po tem przemówieniu dał się słyszeć grzmot oklasków, a tylko klika związana własnemi interesami i wzajemną obroną, okazała wielkie oburzenie.

Zabrał jeszcze głos profesor Jägerman, który popierał wniosek Gniewosza. Następnie wystąpili obrońcy, z bezczelnością i cynizmem broniąc szczególniej prezesa Kulczyckiego, jako wielce szanownego i zasłużonego krajowi obywatela. Najzaciętszym jego szermierzem, dyrekcyi i Rady zawiadowczej był p. B a r a ń s k i, urzędnik z Namiestnictwa.

J. N. Gniewosz widząc tę zorganizowaną bezczelność, zainterpelował prezesa, przewodniczącego p. Kulczyckiego, czy nie ma chociaż tyle wstydu w oczach, aby zrozumiał, że przewodnictwo jego jest obrazą dla zebrania, mianowicie, gdy miejsce jego jest tylko w kryminale za kratami?

Pomimo takiego wezwania p. prezes pozostał aż do końca na swem krześle. A na to co usłyszał, aby wytrzymać, potrzeba było mieć nader silne nerwy.

Dr. C i e s i e l s k i przedłożył imieniem Rady nadzorczej (wybranej 4. bm.) wnioski, mające uratować instytucyą; oznajmił, że interesowani wypowiedzieli wkładki oszczędności w kwocie 130.000 złr. Wkładki te są już za kilka dni płatne, a jeżeli chociaż jeden właściciel poda o konkurs, takowy musi być wprowadzony. Według p. Ciesielskiego należałoby do tego nie dopuścić i w imieniu nowej rady nadzorczej przedstawia dwie drogi: 1) albo dalej prowadzić interesa towarzystwa, odpisując straty w kwocie 34.405 zł.; albo 2) przystąpić do likwidacyi. Stawia w końcu wnioski następujące:

a) W myśl § 52. statutów rozwiązać towarzystwo i przystąpić do likwidacyi.

b) Wybrać 4 likwidatorów, tudzież nadzorczy komitet likwidacyjny z 12 członków, a to 6 z grona wierzycieli, a 6 z grona członków.

c) Wybrani likwidatorowie przystąpią do czynności według ustawy z r. 1883.

d) Likwidatorowie zawiadomią natychmiast Sąd o likwidacyi.

e) Sciągną bezzwłocznie niewpłacone jeszcze kwoty na udziały, tudzież należytości już zapadłe.

f) W r. 1885 przedłożą zgromadzeniu bilans za rok bieżący.

Co Dra Ciesielskiego powodowało do tak silnego popierania likwidacyi, która się w żaden sposób utrzymać nie może, — nie pojmujemy, gdyż trudno przypuścić, aby dr. Ciesielski i w ogóle nowa Rada nadzorcza, n i e b y l i p r z e k o n a n i, że defraudacye przenoszą znacznie wyższą sumę, aniżeli 34.405 zł. Daj Boże, aby ta suma była tylko podwójną. My jednak już dziś twierdzimy, że fałszerstwa i złodziejstwa przenoszą znacznie 100.000 złr.

Jakie wysilenia robiono, aby utrzymać likwidacyę, można łatwo pojąć. Gdy zaś aż nadto widocznem było, że tu tylko idzie o fałszywe ratowanie honoru miasta i skompromitowanych znakomitości, J. N. Gniewosz zażądał znowu głosu, i zgadzając się w zasadzie na likwidacyę, pod tym jednak warunkiem, aby dyrekcyę i c z y n n y c h c z ł o n k ó w R a d y z a w i a d o w c z e j, oddać c. k. Prokuratoryi Państwa i poczynić wszelkie kroki dla zabezpieczenia strat na ich majątkach. Wniosek ten miał być wpisany do protokołu, (co jednak nie nastąpiło), a rozpoczęła się komedya wyboru likwidatorów.

Na ten cel były już przygotowane drukowane kartki wyborcze z nazwiskami pp. St. J a b ł k o w s k i e g o, Bogusława L o n g s c h a m p s a, Dra Z. S k o w r o ń s k i e g o i Jana S z w e j k o w s k i e g o.

Gdy rozdano kartki wotantom, a działo się to już wtenczas, gdy część członków opuściła salę, a drudzy nieustannie opuszczali, głosujący zgadzali się na niektóre nazwiska, inne zaś przekreślali, wpisując nowe.

Poplecznicy dyrekcyi i starej Rady zawiadowczej zaklinali, aby wszystkich czterech likwidatorów przyjąć e n b l o c. Skrutynium pokazało, że tylko dwóch miało większość głosów, a dwa inne były rozbite. Na to powstał pan Bogusław Longschamps i orzekł stanowczo w imieniu swojem i trzech innych kolegów, że daje zgromadzeniu do wyboru, iż przyjmie wszystkich czterech tak jak są na kartkach wydrukowani, albo gdy to nie nastąpi, żaden z nich nie przyjmie wyboru. Na domiar wystąpił p. Szwejkowski, że ponieważ nie był wybrany „j e d n o g ł o ś n i e“, czuje się obrażony i wyboru nie przyjmuje.

Rozpoczęła się więc komedyjka próśb i błagań, aby uwzględnił, że towarzystwo nie ma ani chwili czasu do stracenia (rzeczywiście, bo już brakło nawet kompletu), i jutro rano otworzony zostanie konkurs.

Pod takim naciskiem p. Szwejkowski przyjął wybór.

Następnie wobec nielicznego grona mających prawo głosować, wybrano także podług kartek drukowanych do komitetu, który ma funkcyonować przy współudziale patrona związku, Dra Augusta Balasitz, profesora uniwersytetu, (znanego jako sędziego honorowego w sprawie Dra Czerwińskiego contra T. Romanowiczowi), Dra Teofila Ciesielskiego, Antoniego Czernego, radcę rachunkowego, Jana Ihnatowicza, Mikołaja Krasuckiego, urzędnika asek. (ten jednak wyboru nie przyjął) i Albina Soleckiego, urzędnika kasy oszczęd.

Całe to zebranie, a raczej akt wyborczy był kubek w kubek podobien do tego, co się działo w Banku włościańskim, gdy za jakąbądź cenę postanowiono ratować Drów Friedów i Romaszkanów.

Zaznaczamy, że była dyrekcya i Rada zawiadowcza przeprowadziły właściwie te wybory i same na nie głosowały.

W poniedziałek zwołano do sali kasyna mieszczańskiego posiadaczy książeczek wkładkowych, którzy łącznie reprezentowali kapitał wkładkowy w sumie 265.472 złr.

Zebranie przedstawiało jakby Izbę parlamentarną, bo jakoś się utworzyła prawica, lewica i centrum. Na pierwszy rzut oka można już było rozpoznać, że prawica składa się z gorących przyjaciół politycznych dyrekcyi i starej Rady zawiadowczej „Lwowskiej kasy zaliczkowej“, oraz kilku wybitniejszych osobistości, po prostu obałamuconych i w błąd wprowadzonych, że tylko likwidacya jest możebna i że takowa nawet uratuje towarzystwo kasy zaliczkowej.

P. Prezes Kulczycki zagaił znowu zebranie, wezwał na sekretarzy p. Zygmunta Medwetzky'ego (!) i p. Dra Blizińskiego, adwokata. Następnie uznał jednak za właściwe poprosić zgromadzonych, aby wybrali przewodniczącego.

Zaproszono p. Walerego Podlewskiego. Ten się opierał i zżymał, ale to mu nic nie pomogło, gdyż ten szanowny weteran, czy chce, czy nie chce, musi wszędzie przewodniczyć, jakby to było jego wyłączną specyalnością żywota.

Pan Lech i p. Dr. Skałkowski przedstawili znowu zgromadzonym, z których wielu obojga płci nie było w ratuszu, stan kasy lwowskiej zaliczkowej, i — chociaż nader oględnie, nie poręczając absolutnie za wynik, polecali uchwalenie likwidacyi.

Zażądał znowu głosu J N. Gniewosz, na co podsunął się do przewodniczącego jakiś dygnitarz byłej dyrekcyi, i szepnął mu coś na ucho. Szan. przewodniczący zapytał, w jakim charakterze chce żądający głosu przemawiać: czy jako członek kasy zaliczkowej lwowskiej, czy też jako właściciel książki wkładkowej?

Na to zapytanie wyjął z kieszeni Gniewosz książeczkę wkładkową, opiewającą na 1000 zł. i oświadczył, że występuje jako pełnomocnik.

Następnie przemawiał tak samo jak dnia poprzedniego, a to z tego powodu, że wiele osób dziś obecnych, dnia poprzedniego nie uczestniczyło w zebraniu. Obznajmił ich więc z rzeczywistym smutnym stanem, dodając, że zgodziłby się na likwidacyę, gdyby takowa była możebna, ale tak nie jest, gdyż defraudacye i oszustwa są tak wielkie, że konkurs jest nieunikniony; likwidacya zaś może być bardzo pożądaną, ale tylko dla tych, którzy chcą się wykręcić z powodu popełnionych oszustw i defraudacyj od kryminału. To też nic nie pozostaje właścicielom książeczek wkładkowych, jak uchwała, aby winowajcy oddani zostali sądom karnym, a ich wszelki majątek wzięty został pod opiekę na zabezpieczenie strat poniesionych przez oszukanych i okradzionych.

Gniewosz kładł główny nacisk na to, że konkurs nie jest tak strasznym, jak go ktoś usiłuje przedstawiać, jeżeli nie będzie traktowanym podług dotychczasowego szablonu, gdy panem życia i śmierci poszkodowanych staje się adwokat podający rachunki za swoje trudy, jakie mu się podoba. Na to jest jednak inny sposób, a praktykuje on się głównie w Wiedniu. Czemużby i tutaj nie można go zastósować. A rzecz się tak ma: Na kuratora masy konkursowej ogłasza się również konkurs; pp. adwokaci podają swe oferty „in minus“, i ten zostaje mianowany kuratorem, którego oferta jest najniższa, i z góry obliczone żądanie, ile przeprowadzenie konkursu kosztować będzie.

Ze tak się dzieje w Wiedniu, o tem nasi pp. adwokaci lwowscy bardzo dobrze wiedzą, chociaż odkrycie tej tajemnicy obrzucili szyderstwem i usiłowali zadać mu fałsz. Pojmujemy zupełnie to oburzenie, bo cóż to za gratka dla adwokatów, pracujących w likwidacyi, gdy który zostanie kuratorem konkursu w granicach dotąd praktykowanych.

Z jednej strony powstała burza oklasków, gdy szanowna prawica zżymała się i pieniła, a zgrzytając zębami, wołała: „rewolwer, oszczerca!“

Tak jest, rewolwer! — ale palący śmiało, otwarcie, nie z poza płotu, do nikczemnych miedzianych czół oszustów i złodziei publicznych.

Teraz nastąpiła nader ciekawa scena: Wystąpił z prawicy p. Dr. Krówczyński, adwokat, syndyk osławionego Banku zastawniczego w teatrze, i z niezwykłem namaszczeniem usiłował przekonać zgromadzonych o błogosławieństwie likwidacyi. Wpośród tych przekonywań „sumiennych“ nie wahał się odkryć zasad, prawdziwej lwowsko-adwokackiej moralności i tak: Biorąc asumpt z tego, co Gniewosz mówił o lichwie praktykowanej w kasie zaliczkowej lwowskiej przez dyrekcyę i p. likwidatora Szczypczyka, który tak po bandycku szczypał klientów, p. dr. Krówczyński, syndyk Banku zastawniczego w teatrze, tak tę rzecz usprawiedliwiał — a mniej więcej w tych słowach:

„Jak można poczytywać p. Szczypczykowi za zbrodnię, że on tam pobierał od stron po 2 złr.; wygląda to tak samo, jak gdyby pani, czyli gospodyni domu poczytywała za zbrodnię kucharce, jeżeli ta idąc na targ dla zakupna, pobiera sobie koszykowe.“

Na to zawołał Gniewosz:

— „Słuchajcie! oto dogmat moralności adwokackiej, syndyka Banku zastawniczego w teatrze! (Na prawicy oburzenie, z innych stron oklaski).

Tak samo szermował za likwidacyą p. Dr. Błażejowski, adwokat (któremubyśmy bardzo radzili, aby się tak nie „rozbijał“ — w sprawach publicznych).

Następnie wystąpił prawnik p. Hibel, który z prawdziwą znajomością prawniczą zbijał wszelkie fałszywe poglądy i objaśnienia pp. Drów Krówczyńskiego i Błażejowskiego, adwokatów, oraz udowodnił, że wywody ich zwrócone były jedynie dla obałamucenia książeczek wkładkowych, i że konkurs jest nieodzownym, gdyż nawet gdyby likwidacya była uchwalona, przyjść do niego musi. Wtenczas poszkodowani poniosą daleko większe straty.

Adwokacki spryt nie mogąc odpowiedzieć argumentami prawnemi, posiłkował się mniej szlachetnemi środkami, gdy p. Dr. Błażejowski zarzucił p. Hiblowi, że tenże nie ma nawet prawa tutaj przemawiać, albowiem swoją lichą wkładkę już odebrał. (Rzeczywiście, bandyci w kasie zaliczkowej, gdy ich p. Hibel przyparł do muru, i zagroził oddać ich do c. k. Prokuratoryi, pomimo, że już powstrzymali wszelkie wypłaty w kasie, i zamknęli takową, uważali jednak za właściwe nie narażać się na niebezpieczeństwo i cichaczem nie tylko jemu, ale i innym powypłacali nawet niewypowiedziane wkładki na książeczki. Naturalnie, nic było to ze strachu przed zamieszkaniem w hotelu Liedl, ale z wielkiej sumienności.)

P. Hibel zaprezentował jednak książeczkę wkładkową swej siostry, na sumę 900 złr., a dalej odpowiedział, że jemu nie wpływają tak łatwo pieniądze do kieszeni, jak p. Błażejowskiemu, gdyż musi ciężko na każdy grosz pracować. Co potem usłyszeli pp. adwokaci, dyrekcya i Rada zawiadowcza od p. Hibla, to się tu nie da opisać. Były to tak dotkliwe moralne policzki, które powaliłyby nawet najsilniejszych Samsonów, ale nie takiego wagomiaru mężów, jak pewni nasi adwokaci, i znakomici funkcyonaryusze instytucyi finansowej.

Na zakończenie nastąpiła skandaliczna komedya wyborów do komitetu kontrolującego likwidacyę. Szczególniej p. Bogusław Longschamps, ściskał, całował, chwytał za poły p. Zygmunta Ruckera, aptekarza, aby ten się zechciał poświęcić dla dobra publicznego i raczył się pozwolić wybrać na członka komitetu. Inni znowu zaklinali p. Zygmunta Medwetzkyego, o to samo. W rezultacie p. Zygmunt Rucker poświęcił się i przyjął wybór, a p. Zygmunt Medwetzky upadł tylko mniejszością kilku głosów.

Do komitetu wybrani zostali:

Dr. Błażejowski, adwokat krajowy, Dr. Kazimierz Bliziński, adwokat krajowy, Kazimierz Dybowski,(?) Henryk Rewakowicz, (widocznie, że ostrowidzów w komitecie niepotrzeba) Romanowski(?) Zygmunt Rucker, aptekarz.

Wybory te odbyły się w nader szczupłem gronie, wśród krzyku i hałasów. W trakcie tej ciekawej operacyi p. Lech zwrócił prywatnie uwagę, spostrzegłszy w ręku jednego z obecnych książeczkę wkładkową, nieopatrzoną w jakąkolwiek stampilię dyrekcyi lwowskiej kasy zaliczkowej, pouczył właściciela, że ta w obec ustawy prawnej jest bezwartościową.

Naturalnie że powstał popłoch i nuż rewidować książeczki. Pokazało się, że połowa książeczek nie jest opatrzoną w prawem przypisane stampilie. Pytanie więc wielkie, czy uznane zostaną przez Sądy. Dzisiaj też nikt uczciwy nie może zaprzeczyć, że nie należy uważać braku stampilii za lenistwo funkcyonaryuszów dyrekcyi, ale za rozmyślne postępowanie, aby tem łatwiej ukrywać było można oszustwa i defraudacye.

Donoszą nam, iż stara dyrekcya i Rada zawiadowcza skrzętnie pracuje podziśdzień w lwowskiej kasie zaliczkowej, gospodaruje jak szare gęsi, robi co chce, to też nie dziw, iż nawet takie wieści kursują po Lwowie, jakoby jeden z członków dyrekcyi miał w tych dniach wpisać sobie w książki sumę 4.000 złr., wrzekomo złożoną przed rokiem czy dawniej, jako wkładkę do lwowskiej kasy zaliczkowej na książeczkę.

Wobec tych wszystkich faktów byłoby do życzenia, aby Swietna c. k. Prokuratorya Państwa raczyła jak najspieszniej zająć się tą sprawą. Nie ulega albowiem wątpliwości, że Aleksander Pilarski, dyrektor, był zmuszony do ucieczki przez innych członków dyrekcyi, aby tem samem zostali ochronieni od kryminału. Ci panowie mieli nawet złożyć Pilarskiemu znaczniejszą sumę, aby się tylko jak najspieszniej oddalił.

Faktem jest, że mieszkając bezpośrednio i w połączeniu z biórami lwowskiej kasy zaliczkowej, trzy dni się wyprowadzał, w sposób nader podejrzany, co nawet stróża kamienicznego wielce zdziwiło, a członkowie Rady zawiadowczej o tem nie wiedzieli.

Nic to jednak moralności naszej społecznej nie szkodzi, panom Friedom, Romaszkanom, Köweszom i Jabłonowskim przybędzie tylko kilku nowych towarzyszy, którzy się zbiorowo zawiążą w nowy chór męski i maluczko a wystąpią w koncercie na jaki cel dobroczynny i zaśpiewają kantatę:

„Co nam zrobisz!“

Czarna banda.

Widocznie musieliśmy silnie przycisnąć do muru wszelkiego rodzaju i nazwy szubrawstwo, które jak szuler stawiając ostatni grosz na kartę, straciło nietylko rozum, ale zmysł zachowawczy, aby bryzgając ostatkami jadu, popróbować jeszcze na chybił trafił, czy się nie da obałamucić opinii publicznej i zabić moralnie tego, który bez względu na przysłowie: „nec Hercules contra plures“ piętnuje opryszkowstwo społeczne jakby rozpalonem żelazem, które się wije podobne do wstrętnych płazów, na któreby nasypano żaru.

Dzięki Bogu wszechmocnemu, już dziś możemy powiedzieć, że jesteśmy bliscy zupełnego zwycięstwa, a kraj pozna wkrótce, gdzie szukać oszczerców i bandytów.

Walka, do jakiej stajemy z otwartą przyłbicą i nie strzelamy nikczemnie z za płotu, ale każdego szubrawca wskazujemy po imieniu i nazwisku, nie oglądając się na to, jakie on stanowisko w społeczeństwie zajmuje, nie zasłaniamy się wykrętami adwokackimi, aby nas kodeks sprawiedliwości nie mógł dosięgnąć, lecz rzucamy moralnie upadłym i znikczemnionym bandytom w oczy ich zbrodnie, jakich się względem kraju i Ojczyzny dopuszczają. Kto nosi imię i nazwisko Jana Nepomucena z Oleksowa Gniewosza, ten nie może mieć nic wspólnego z takimi służalczymi szubrawcami, jak **Jan Lam**, ex-notaryusz **Michał Sawicki** i **Włodzimierz Stebelski**, ta trójka hultajów niepoprawnych, którzy nie od dzisiaj już kwalifikują się do kryminału.

Tego rodzaju członkowie **„czarnej bandy“** i ich polityczni przyjaciele są nie od dzisiaj plagą nietylko dziennikarstwa polskiego, ale kraju i przyszłości Ojczyzny naszej. Jest to zaiste niecna trójka rozbestwionych szulerów, którzy stawiwszy na hazard cały swój żywot, z nieznanym dotąd cynizmem i bezwstydem usiłują bezczelnością swoją służyć i dalej za judaszowe srebrniki hersztom demoralizacyi, którzy cały ten nieszczęśliwy kraj chcą objąć w szpony swe.

Przez lat dwadzieścia blisko moralność społeczna narkotyzowana i zatruwana przez dziennikarzy, którzy mieli tę cywilną odwagę wypowiadać nawet głośno: „piszę temu kto mi płaci“, musiała nareszcie zejść tam gdzie dziś stoi, a co nie jest tajnem, gdyż nawet najpoważniejsi ludzie oglądają się z przerażeniem naokół siebie i pytają: „czy nie koniec tego strasznego upadku moralnego i gdzie zajdziemy dalej?“

Gdy zaś miał ktoś odwagę odezwać się głosem prawdy i wskazywać na smutne następstwa, wystarczyło, aby taki niecny handlarz opinii publicznej, dzierżący jej berło prawie od lat 20 w kraju Jan Lam, rzucił na niego swem szyderstwem zjadliwem i zmusił do milczenia.

Człowiek ten, któremu Bóg udzielił tak wiele talentu pisarskiego, iż jenialność jego w tym kierunku była niezaprzeczoną, — jakżeż użył tego daru Bożego? — Cóż to się stało nareszcie z tego czerwonego demokraty, który z początku jak Jowisz rzucając pioruny, stawał się wyrocznią nietylko w kraju, ale sławę jego niosło echo i po innych częściach ziemi. Nie poszedł jednak jeniusz w parze z charakterem, szlachetnością i poczuciem własnej, osobistej godności człowieka.

Przypatrzmy się temu człowiekowi, uznanemu za potęgę dziennikarską i literacką, w jakiej sprzeczności stanął z samym sobą:

Tu tryska jak perłami i dyamentami jeniuszem i humorem; każde słowo przez niego napisane, obkładają wydawcy nieomal złotem, gdy ten sam jeniusz zamienia się z człowieka równocześnie we wstrętne bydlę, w zwierzę, które wtenczas dopiero czuje się szczęśliwem, gdy może się walać w rynsztoku i najohydniejszem błocie szynkowem.

Niechaj sobie obywatele Lwowa szczególniej przypomną te czasy, gdy to nietylko młodzież poczciwa w gruncie, patrząc na tego uwielbianego bałwana

jak na apostoła, cisnęła się do niego, uszczęśliwiona, jeżeli w jego towarzystwie mogła przepędzić chociaż chwilkę czasu; albowiem samo zbliżenie się do tego koryfeusza, już było zaszczytem dla tego, który tego szczęścia dostąpił. Lecz nietylko młodzież, ale ludzie poważniejsi i zajmujący zaszczytne stanowiska w różnych zawodach, tak samo się do niego cisnęli. Nawet „śmietanka społeczna“ ceniła wysoko względ, jeżeli raczył p. Jan Lam pomiędzy nią zawitać.

I gdzież ten sławiony, jenialny koryfeusz poprowadził te szeregi za sobą? — Oto do kryminałów, samobójstwa, bankructwa moralnego i materyalnego, oszustw, złodziejstw, lub po wyczerpaniu sił fizycznych do zawczesnego zimnego grobu. A miał on szczególny dar, ten znikczemniony cynik, obrzydliwy pijak i kostera, jak pająk otaczać niewinną muchę, ssać ją tak długo, dopóki nie padła moralną lub fizyczną śmiercią.

Biada było temu, kto wpadł w zaczarowane koło Lamowskie, bo mógł się uważać za szczęśliwego, jeżeli wyszedł tylko materyalnym bankratem w ostatniej koszuli. Smiemy twierdzić, że sprowadził on w Galicyi daleko większą klęskę, aniżeli słynny onego czasu minister Turkułł, który był płatny przez cara, za demoralizowanie młodego pokolenia.

Jan Lam był zręczniejszym jeszcze od niego, gdyż umiał on nie tylko młodzież, ale ludzi pełnoletnich i z uczciwą przeszłością, a zasługujących na lepszy los, osidlić, i tak długo trzymać w swych szponach, że niewypuszczał ich prędzej, dopóki nie wyssał ostatnich sił żywotnych. A był to człowiek tak znikczemniały i bez serca, że rodzina jego poczciwa i zacna, gdy on używał, trwonił i hulał, cierpiała nieustanny niedostatek, a nawet nędzę. Wiadomo to jest całemu Lwowu, że na utrzymanie całej rodziny dawał 2 złr. dziennie, a jeszcze wśród nocy hulackich bydlęcego żywota pukał do okna i zabierał ostatni grosz, bez względu, czy następnego dnia dzieci nie będą wołać z głodu: „Chleba“!

Nikczemny ten żywot znany był całemu Lwowu, bo cynik się z nim nie taił. Ale nikt mu nie miał odwagi cofnąć ręki, gdyż Lam był jenialnym i słynnym kronikarzem *Dziennika polskiego*.

Żaden kupiec, restaurator, cukiernik, handlarz win, kawiarz, szynkarz i przytułki nocne najskrajniejszej demoralizacyi, nie śmiały mu broń Boże odmawiać kredytu nieumiarkowanego, i zmuszone były nawet pozwolić się terroryzować całonocnemi orgiami, gdyż biada temu, ktoby nie był zadosyćuczynił woli, tego dyktatora opinii publicznej we Lwowie i Galicyi.

Nie ma formalnie ani jednego miejsca publicznego, gdzieby rachunki za pijatyki, wytworne potrawy i przysmaki nie figurowały na imię p. Lama, co najmniej, po kilkaset złr., a znamy i takie firmy, które Jan Lam na te orgie wyzyskał nieuczciwie na kwoty, dochodzące po 1000 złr.

Z początku taki Lam, była to korzystna klientela i wabik na zyski publicznych zakładów, gdyż świta jego zostawiała setki, tysiące. Ale w końcu gdy już miarka wymagań p. Lama się przebrała, wymawiano mu ten kredyt, chociaż nie śmiano ścigać sądownie, gdyż znakomity kronikarz, chociaż widocznie upadał coraz niżej, był zawsze postrachem chociażby dla najuczciwszych ludzi. W końcu w rzadkich już tylko wypadkach, można go było widzieć wchodzącego do zakładu, do którego uczciwy i moralny człowiek wstydzi się wnijść w dzień biały.

Dzień, była to wprawdzie pora, w której Lam rzadko oglądał świat Boży, gdyż natura wymagała, aby po nocnych orgiach szukał spoczynku. Dopiero gdy słońce zaszło, wychodził ten bohater z domu na nocne wyprawy i używał życia po żydowskich piwiarniach i szynkach, po nocnych kawiarniach, lub też po norach, których tu znaczenia nie wolno nam bliżej objaśnić. Ileż to razy widzieć można było to bydlę nawet w dzień świąteczny, gdy mieszkańcy Lwowa zdążali do świątyń Pańskich na nabożeństwo, spite, oplwane, zbrukane pod żydowskiemi ławami szynkowemi, zataczające się po ulicach, wyśmiewane przez uliczników, wytykane palcami i wskazywane głośno: „Oto Lam, gazetnik, kronikarz *Dziennika polskiego*,“ gdy ten apostoł demoralizacyi wracał do domu — do rodziny, do dzieci nieszczęśliwych.

Gdziekolwiek indziej, byłoby społeczeństwo nie pozwoliło się terroryzować temu zbydlęconemu kosterze; — ale niestety — w stołecznem mieście Lwowie nikogo to już nie raziło, a przynajmniej nikt nie miał odwagi się odezwać i nazwać go po nazwisku, bo p. Jan Lam był „jenialnym“, niebezpiecznym przeciwnikiem, — a więc niedotykalnym.

Że ten człowiek nie miał nigdy własnych przekonań, a stałość charakteru tem mniej była mu znaną, to niech raczą ci, którzy mieszkają od lat kilkunastu we Lwowie, przypomnieć sobie, ile razy ta znakomitość zmieniała swe przekonania, zasady i ilu ludziom służył Jan Lam. A kto na to nie patrzył, ten niech przejrzy w którejkolwiek z bibliotek publicznych roczniki chociażby tylko *Gazety narodowej*, *Dziennika lwowskiego*, *Dziennika polskiego* i innych pism. Gdyby zaś porządek społeczny wymagał tak jak od innych śmiertelników książeczek służbowych, tenby dopiero wtenczas nabył jasnego wyobrażenia o szerokiem sumieniu i zasadach takiego dziennikarza. Służyć Panu Bogu czy djabłu, to rzecz dla niego obojętna, byle mu tylko dobrze zapłacono.

W ostatnich kilkunastu latach Jan Lam zamienił się na inwentarz redakcyjny *Dziennika polskiego*, który każdy nowy nabywca zmuszony był bezwarunkowo kupować. Pan Jan Lam był jednak bardzo wygodnem narzędziem, gdyż natychmiast zmieniał swoją chorągiewkę i pissł to, za co mu płacono.

Pomiędzy innemi najciekawszem jest to, przez ile lat i w jaki sposób pisał on, szarpał, znieważał, ród książąt Sapiehów; fakta te są powszednie znane i udowodnione mogą być tem, co pisał Jan Lam w swoich kronikach. A nie pisał tego jakiś tam redaktor *Sztandaru pols.* i *Strażnicy polsk.*, ale powszechnie uznana znakomitość dziennikarska, Jan Lam. Gdyby kogoś innego chociażby tylko zwykłego śmiertelnika obrzucano tak samo błotem, to śmiemy wątpić, czyby w tem życiu podał rękę takiemu człowiekowi. Muszą w tem wszystkiem być jedna z dwóch prawd: Albo to, co pisał Lam o Sapiehach było prawdą, lub nikczemnem oszczerstwem. Otóż w pierwszym wypadku należało za jakąbądź cenę zamknąć mu gębę, a w drugim wiedząc, że ten człowiek da się do wszystkiego użyć, puścić mimo uszu wszystkie obelgi chociażby najdotkliwsze, a pozyskać go na swego sojusznika dla własnych interesów, czyli za narzędzie do dalszego ciągu tych samych sprawek nie wonię jących zapachem róż, ale, które sobie książęta Sapiehowie wybrali za cel życia. Było wprawdzie wielkie zdziwienie, gdy ten zacięty wróg białych i czerwonych książąt wierny zasadom swego pochodzenia kulturträgerów, którzy w następnem pokoleniu przechodzą na patryotów polskich, z prawdziwie jagnięcą pokorą przeszedł w służbę czerwonego księcia i nie namyślał się nawet, aby pójść pod rozkazy drugiego fagasa, ex-notaryusza Michała Sawickiego.

Wprawdzie *Dziennik polski* zmieniał prawie zawsze gdy przechodził w inne ręce swoją barwę i służył różnym panom, którzy byt jego podtrzymywali. Nigdy jednak nie posunął się do takiej bezczelności, cynizmu; –– nigdy redakcya nie świeciła z taką odwagą miedzianemi czołami, jak w tej ostatniej epoce, gdy pismo to stało się wyłączną i nadworną własnością znanego czerwonego księcia. Na czele redakcyi stanął notoryczny szubrawiec, który na urzędzie notaryalnym stał się niemożebnym i zmuszony był rezygnować z obawy przed następstwami kodeksu karnego. Nie posiada on wprawdzie jakichkolwiek zdolności dziennikarskich, ale o to widocznie czerwonemu księciu nie chodziło, byle tylko był posłuszny i pisał to co mu każą, aby był lokajem i psiukiem, którego gdzie poszczujesz, tam poleci i szarpać będzie, chociażby tylko po łydkach. Któż nie zna we Lwowie tego demoralizatora młodzieży, tego żonatego przedsiębiorcy orgij nocnych, używającego za „Szweiggeldy“ i cieszącego się niezwykłemi łaskami czerwonego księcia.

Przypatrzmy się składowi redakcyi, która wyjąwszy jednego członka, zmuszonego pracować dla chleba, ale człowieka uczciwego, reszta składa się z notorycznych pijaków i włóczęgów nocnych, walających się po szynkach.

Jeżeli moralność społeczna kraju zeszła na straszne bezdroża, jeżeli prawdziwe ideały i cnoty obywatelskie stają się coraz więcej smutną ironią — to któż temu winien, jeżeli nie nasze dziennikarstwo, a przedewszystkiem takie indywidua, za potęgi dziennikarskie uznane, jak Jan Lam, które prowadzą nikczemny handel krajem blisko lat 20, a nikt nie miał na tyle cywilnej odwagi, aby rzucał im ich nikczemność w oczy.

Powołani przed 7 laty przez nieposzlakowanej czci patryotów, jak ś. p. Alfred Młocki, ś. p. Ignacy Łukasiewicz, Aleksander Krukowiecki i innych, do nader trudnego i ciężkiego zadania, spełnialiśmy takowe i spełniamy z największą sumiennością, nie zrażeni chociażby najgwałtowniejszemi napaściami i oszczerstwem. Spełniamy tę misyę naszą wprawdzie z nieznaną dotąd w dziennikarstwie wytrwałością, nie obawiamy się nawet całych legij szatanów i ludzi nikczemnych, a stoimy zawsze z podniesionem czołem, bo czyste sumienie dozwala nam patrzeć każdemu śmiało w oczy. Niech sobie szanowni czytelnicy raczą przypomnieć, jakiem błotem rzucano na nas od lat siedmiu, a przecież kał ten nas się nie czepił.

Niech sobie raczą przypomnieć, że już rok czwarty temu, gdy poważne grono obywateli patryotów, dało nam publiczne świadectwo moralności dziennikarskiej. Wrogowie nasi zgrzytali ze wściekłości zębami, czynili wszelkie wysilenia, aby zmusić tych zacnych do odwołania; nic to jednak nie pomogło. Zachwiał się tylko jeden, ale pod presyą, gdy mu powiedziano, będziesz lub nie będziesz posłem. Gdybyśmy się byli chcieli poddać warunkom lwowskich redakcyj dziennikarskich, byłyby nas takowe z otwartemi rękami przyjęły, płacąc dobrze za pracę. A jeżeli się uwzględni, ile taki dziennikarz chowa do kieszeni łapówek i różnych Schweiggeldów, to położenie nasze byłoby świetne, i nie zmuszałoby nas przy końcu szóstego krzyżyka żywota do takiej tytanicznej walki moralnej i materyalnej o byt pism.

Dzieje naszego wydawnictwa są jednak dla każdego otwarte wraz z dowodami; prosimy tam zajrzeć, aby się przekonać, w jakichto warunkach spełniamy naszą misyę, którejby nam nawet najzaciętszy wróg nie pozazdrościł. A jeżeliśmy byli wrogiem komu, to samym sobie, nadwerężając nawet silnie resztek tego mienia, własności dzieci naszych, którego wróg nie spalił i nie zagrabił. A ileż to dni w tych latach było pracy o chłodzie i głodzie, wśród trosk codziennych, że aż włos pobielał; a przecież nas nikt nie widział walających się po szynkach i orgiach, hulających i używających za Szweiggeldy i łapówki. Potrzebowaliśmy tylko przyrzec milczenie wobec nieuczciwych czynów i spraw, a kieszenie nasze nie byłyby nigdy puste i nie bylibyśmy często w tem położeniu, że nawet ostatni kęs chleba, lub łyżka strawy odjęta od ust, nie wystarcza na podzielenie się z biedniejszym bratem.

Gdy nas żadne przedstawienia ani groźby i napaści bandyckie nie potrafiły dotąd zgnieść i zamknąć ust, gdy wszystkie tryumfy uspokojenia nas okazały się zawczesnemi, nie dano jednak za wygranę, bo „Czarna banda“ obsypywana przez nas żarem piekącym, zmuszona jest kręcić się i wić, widząc przed sobą niebezpieczeństwo, że te „rewolwery“ *Sztandar polski* i *Strażnica polska* zwracają na siebie uwagę coraz szerszych i poważniejszych kół obywatelskich w kraju.

Ale od czegóż ma i płaci czerwony książę exnotaryuszów Michałów Sawickich, Janów Lamów i Włodziemierzów Stebelskich! Dla czego ich nie spuścić z obróży i nie poszczuć na tego brytana czy niedźwiedzia, który tak niemiłosiernie wali swą łapą i przyciska do muru nawet książąt i kuratorów wraz z bandą niepoliczoną Köweszów?

Rok temu minął, gdy rynsztokowy opój, Jan Lam, posłuszny tym co mu płacą, nie wahał się zejść aż do roli najnikczemniejszego denuncyanta i w kronikach swych zarzucił nam wrzekomo kryminalne czyny. A gdy upornie zwracał uwagę na takowe najwyższej władzy sądowej w kraju i prokuratoryi, ostatnia wdrożyła najsurowsze śledztwo.

P. Jan Lam sam był przesłuchiwany, a jako denuncyant zmuszony był dostarczyć wszelkich świadków.

Czarna banda zacierała ręce z radości, że redaktor *Sztandaru polskiego* i *Strażnicy polskiej* tuż tuż będzie wsadzony do kryminału i napiętnowany publicznie. Sledztwo jednak wykazało, że denuncyant Jan Lam i jego polityczni przyjaciele są to nikczemni oszczercy.

Na usilne prośby, aby mieć litość nad nieszczęśliwą rodziną Jana Lama, nie oddaliśmy go Sądom karnym, a zadowolniliśmy się ogłoszeniem wyniku śledztwa publicznie. Byliśmy przekonani, że ten rozgnojony szubrawiec przy schyłku pijackiego żywota przestanie na nas bryzgać cuchnącą śliną.

I rzeczywiście nie miał nawet odwagi spojrzeć nam w oczy; aż znowu gdyśmy coraz silniej zaczęli nacierać na czerwonych książąt, kuratorów fundacyjnych itd. itd., potrzeba było koniecznie z tym fantem coś zrobić, gdyż pan tak każe i za to płaci.

Niedawno temu rozeszły się wieści, że po pewnych redakcyach latają banknoty i kubany jak wróble, a ruch ten ożywił się znacznie, gdy przyszły sprawy Köweszów i zaliczkowej Kasy lwowskiej. Napady „rewolwerów“ *Sztandaru polskiego* i *Strażnicy polskiej* zapierały już Czarnej bandzie oddech w piersiach. Spuszczono więc z obróży urlopowanego kandydata do Kulparkowa, zapadającego nieustannie na deliryum pijackie, ale napaść ta nie obiecywała żadnego skutku. Dalejże więc z butelką koniaku do Jana Lama, którego przeszłość pijacka przykuła do łoża. Nic to jednak nie przeszkadza, bo człowiek ten nawet w ostatnim okresie żywota nie zawaha się przed żadnem szubrawstwem, byle mu tylko za nie zapłacono.

Po walnej naradzie takich trzech opryszków jak ex-notaryusz Sawicki, W. Stebelski i Jan Lam, pojawił się artykuł w *Dzienniku polskim* na dniu 22. Maja następującej treści:

Hajdamactwo. Znajdujemy w „Dzien“ i w „Kur. poznańskim“ pod powyższym tytułem następującą uwagę: „Codzień nieomal spotykamy się z najpotworniejszemi zarzutami i szarpaniami. To ktoś łaknie urzędu czy obowiązku dla grosza, to głosuje jako kreatura zawisła itp. Szkodliwie to niesłychanie oddziaływa na bieg spraw naszych publicznych. Czasby już był z tego rewolwerowego wpływu się otrząsnąć, a otrząsnąć puszczając mimo krzyki, szarpaniny i drwiny tego rodzaju. Trzeba raz sobie powiedzieć, że służba publiczna, jak z jednej strony jest

najwyższym zaszczytem i wielką odpowiedzialnością, tak z drugiej strony nie odłączone są od niej i przykrości. Ale uczciwe z niej wywiązywanie się, uczciwe postępowanie, sumienne pełnienie jej i spokój przy wykonywaniu, prędzej lub później zjedna uznanie całego społeczeństwa, bo jest ono szlachetne i rozumne, a nikczemnemi zarzutami obałamucić się nie da. Być może, że jakaś chwilę bawi kogoś szarpanina, ale w końcu wywołać musi niesmak oraz pogardę. Niechże zatem każdy pamięta o tem i nie zraża się żadną nieuczciwą bronią przeciwnika. Hasłem każdego powinno być: pomijać zupełnie drwiny i szyderstwa, a pełnić to, co mu obowiązek obywatelski nakazuje, pełnić aż do ostatniego tchu życia." Cała ta ilustracya stosunków w ziemi Poznańskiej może być zastosowaną do awantur brukowych we Lwowie, tylko że trzeba na obraz jeszcze jaskrawsze nałożyć barwy. W mętnej wodzie wypadków, jakie w każdem społeczeństwie wyłania z siebie ułomna natura, łowią ryby najlichsze kreatury. Upadła kasa zaliczkowa wskutek malwersacyi dyrektora, której ducha dodawały opieszałość czy ograniczoność prezesa czy też rady nadzorczej, a już wśród jarmarcznego zgiełku prokuratorowie moralności piętnują całe społeczeństwo kryminalnym znakiem zbrodni. Katonom tym rozchodzi się właśnie o podkopanie zaufania do wszelkiej pracy obywatelskiej, do każdej instytucyi publicznej. Są to anarchiści w najgorszym stylu. Każde ich wystąpienie psuje najświętszą sprawę i uniemożliwia najuczciwszą kontrolę. Czemuż właściwie przemawiamy o nich w liczbie mnogiej? Prasa lwowska niejednokrotnie otrzymywała z prowincyi zapytanie, dlaczego prócz pogardy nie ma innego wyrazu dla koryfeusza tej bezczelnej denuncyacyi, jak błotem obrzuca wszystko w kraju, jak za winy i zbrodnie znikczemniałych jednostek zwala odpowiedzialność na całe warstwy i na całe stany! Owóż wyjaśnimy powód. Dlatego, że ów Katylina sam jest patentowanym złodziejem i oszustem, którego w sądach polubownych przekonano, że jak z rzezimieszek okradł ubogą rodzinę, który w wagonie kolejowym jak bandyta ograbił biedną guwernantkę, który przemysłowcom jak rewolwerowicz przesyłał odbitki szczotkowe pamfletów, który jak sykofanta żyje siłą presyi i groźbą donosicielstwa, który bywał za drzwi wyrzucany w policzki bity itp. Każdy punkt może być na zawołanie udowodniony, a umieszczamy tę notatkę w chwili dlatego, że są ludzie, którzy się liczą z ulicznym rykiem tej z uczciwego towarzystwa dawno już wyrzuconej kanalii."

Zrozumie każdy uczciwy człowiek, że gdyby w oskarżeniu tem publicznem mieściła się chociaż cząsteczka prawdy, wtenczas napiętnowanemu nie pozostałoby nic innego, jak tylko samobójstwo, lub usunięcie się z widnokręgu kraju.

Dzięki Bogu możemy i teraz patrzeć śmiało w oczy każdemu. Ale prosimy się przypatrzeć bliżej, jak to publiczne oskarżenie wygląda:

Udaliśmy się z artykułem tym bezzwłocznie do biegłego i zacnego adwokata, a ten po przeczytaniu i gruntownem zastanowieniu odpowiedział:

— „Że ta napaść dotyczy pana, to nie ulega najmniejszej wątpliwości i zrozumiała jest każdemu, kto tylko czyta *Dziennik polski* i pańskie pisma; pomimo to skarżyć pan nie możesz, bo nie ma podstawy prawnej, brak pańskiego nazwiska, a redakcya *Dziennika pol.* może śmiało powiedzieć, że się to kogo innego tyczy, a nie pana".

Nie poprzestaliśmy na tem objaśnieniu; udaliśmy się do drugiego adwokata, ale i ten nam to samo odpowiedział.

Oto próbka środków i zbrodni, jakiemi się Czarna banda posługuje.

Jeżeli *Sztandar pol.* i *Strażnica pol.* na kogoś napada, to nie chowa się za wykręty prawne, ale działa z otwartą przyłbicą, nazywając szubrawców po imieniu i nazwisku i woła:

„Prosimy przed kratki Sądów karnych!"

Inaczej jednak postępują exnotaryusze, perekińczyki i dogniwające żywota bydlęcego znakomitości dziennikarskie, jak M. Sawicki, W. Stebelski i Jan Lam.

Tacy rycerze "Czarnej bandy" napadają tylko z za płotu i po ciemku, aby ich ująć nie można.

Zapomnieli oni o jednej rzeczy, a mianowicie o tej, że oprócz Sądów opartych na paragrafach, są jeszcze inne, a mianowicie obywatelskie, przed którymi się nawet taki ex-notaryusz nie będzie mógł wykręcić. To też oddaliśmy się i zażądali takiego najsurowszego sądu obywatelskiego nad nami, przed którym p. ex-notaryusz Michał Sawicki zmuszony będzie jak to sam powyżej oświadczył: „każdy punkt na zawołanie udowodnić", a dopiero wtenczas, gdy sąd obywatelski orzecze swe przekonanie, postąpimy ze szubrawcami, jak na to zasługują.

Ale i ten strzał jeszcze dla nich nie był dostatecznym, gdyż w Nrze *Dziennika pol.* o kilka dni później, Jan Lam, nabrawszy odwagi w różnych spirytualiach, pisze w „Kronice lwowskiej":

„Być, czyli nie być?" — Oto jest pytanie, które według znanego wielkiego moralisty naszego zadać sobie musimy ze względu na nasze stosunki polityczno społeczno-ekonomiczne. „Bić, czyli nie bić? — odpowiada mu echo. Wielki moralista nie zważa na nie, ale konjuguje dalej: Kradnę, kradniesz, kradnie, kradniemy, kradniecie, kradną. Niektórzy policyanci są tego zdania, że na wypadek biegaminy na ulicy, najpewniejszą jest rzeczą aresztować tego, co najgłośniej krzyczy: łapaj złodzieja! Prawie zawsze znaleźć przy nim można jakąś rzecz cudzą, i największą bowiem moraliści nie są wolni od tej słabości, dla których istnieje zakład leczniczy w byłym klasztorze PP. Brygidek. Zdarzyło się raz nawet, że pewien cnotliwy mąż stojący na straży ogólnej uczciwości i wysoko podnoszący sztandar poczucia moralnego, wycyganił od pewnej nauczycielki śpiewu cztery banknoty amerykańskie, przedstawiając się jako właściciel majątku Ponik w Królestwie polskiem. Ma się rozumieć, że Ponik poniknął, amerykańskie banknoty przemieniły się na austryackie, a właścicielce ich pozostała tylko hipoteka na Obełgowie, który wszakże jako fidei komis familijny nie ulega subhaście. Musiała biedactwo pożegnać się ze swoim tysiączkiem, i pocieszyć się myślą, że pieniądze jej poszły na wyplewienie chwastów z niwy ojczystej. W takich warunkach nic dziwnego, że mniej z natury swej moralni dyrektorowie różnych zakładów, nie objawiają wiele drażliwości sumienia w kwestyi co moje a co twoje. W ogóle można twierdzić z pewnością apodyktyczną, że kto stanąwszy na ulicy każdego przechodnia nazwie złodziejem, ten za pół godziny a najdalej za godzinę natrafi koniecznie na kogoś, co mu kości nie połamie, ale owszem da nurka jak zmyty. Są tedy złodzieje w Galicyi, i cyrkulacya pieniędzy odbywa się u nas po części w sposób, który ustawa karna nazywa nieprawidłowym. Daleko nam atoli jeszcze do tego co się dzieje gdzieindziej, a osobliwie w wielkich republikach. Fallimenta dwóch czy trzech instytucyj lwowskich są drobiazgami w porównaniu z bankructwami a la Langrand-Dumonceau albo Bontoux. W tej chwili właśnie dzienniki zagraniczne ogłaszają upadłości kilkunastu wielkich firm w Ameryce, których pasywa wynoszą tyle milionów ile ich u nas nigdy nie było. Znane są olbrzymie kradzieże w zarządzie gminy Nowego Yorku. Z floty amerykańskiej w ciągu pewnego czasu podziało się gdzieś pięćdziesiąt kilka okrętów wojennych. I gospodarka publiczna nie lepsza jest gdzieindziej niż u nas. Francuzi zrobili 12.000 milionów złr. (25.000 tysięcy milionów fr.) długu, ażeby się pozbyć Alzacyi i Lotaryngii, która przecież pierwszy lepszy handeles byłby wziął za darmo. Wobec tego czemże jest gospodarka w fundacyi skarbkowskiej? Czem jest niedozór zarządu lwowskiej Kasy zaliczkowej? Nie wynika z tąd wprawdzie, ażeby fundusze publiczne lub prywatne ginęć u nas musiały koniecznie dla tego, że gdzieindziej giną większe sumy — ale nie godzi się piętnować kraju nazwą gniazda złodziei, z powodu kilku smutnych ale luźnych wypadków. Bezkarność, jaka się w nich czasem dostrzegać daje, jest po części winą przestarzałej ustawy, w której brak jest postanowień na wypadek przewinienia zarządców instytucyi, operujących zbiorowym funduszem. W innych znowu razach czyny karygodne stają się z natury swojej nieuchwytnemi dla śledztwa sądowego, albo też po wielkiej wrzawie w dziennikach i w publiczności, rzecz redukuje się do bardzo skromnych rozmiarów. I tak n. p. nieda się zaprzeczyć, że majątek skarbkowski źle jest administrowany. Co do szczegółów atoli, wiemy tylko, że dyrektor otrzymał raz 100 złr. porękawicznego, za przeniesienie dzierżawy z jednej osoby na drugą, a drugi raz 1000 złr. od Towarzystwa Spożywczego za sprzedaż drzewa z lasów fundacyjnych. Urzędnik nie powinien przyjmować prezentów od nikogo za spełnianie swoich obowiązków, a jeżeli to czyni, naraża się na podejrzenie, że działał na szkodę swojego mocodawcy. W tym np. wypadku albo zarząd Towarzystwa niepotrzebnie wydał 1000 zł. z funduszu zbiorowego, albo drzewo z lasów fundacyjnych sprzedanem zostało niżej ceny, jakąby za nie otrzymać można — ale słusznie nadmienia „Gazeta Narodowa", że dotychczas nie wykazano, czy fundacya poniosła szkodę i jaką? Nim się wyda sąd w tej mierze, potrzeba śledztwa. Nadmienić tu także muszę, że administratorowie mniejszych nierówne fortun pobierają zapłatę trzy i cztery razy większą od tej, jaką wyznaczono dyrektorowi dóbr skarbkowskich. Ażeby już raz skończyć ze sprawami tej fundacyi, donoszę, że według dość niepewnej wieści, dyrektorem jej mianowany ma być p. Kazimierz Mołodecki, były właściciel Brodów."

Szanowny czytelnik raczy zauważyć, że tu nie dopisał już pijacki zmysł i wprowadził dwóch autorów w sprzeczność, albowiem guwernantka, którą w wagonie kolejowym "jak bandyta ograbił" redaktor *Sztandar pol.* i *Strażnicy pol.*, zamieniła się już teraz pod piórem Jan Lamma na „pewną nauczycielkę śpiewu". Być może, że w następnych artykułach przemieni ona się znowu na baletniczkę, lub jaką sylfidę z cyrku, boć to wszystko możebne w uczciwości takich bandytów.

Kronika jednak Jana Lama o ile takowa nas dotyczy jest przynajmniej o tyle cenniejszą, że wymienił właściciela Ponika w Królestwie polskiem; a szczęście nasze ze ten Ponik nie „poniknął", ale leży i istnieje dotąd w powiecie częstochowskim, stacya pocztowa Żarki, pod miasteczkiem Janowem. Wprawdzie posiadłość ta jest o tyle tylko własnością redaktora J. N. z Oleksowa Gniewosza, że z zapisu śp. matki Teofili Wiktoryi z Szokalskich z Oleksowa Gniewoszowej, ma tylko dożywocie odpowiednie, a majętność ta spada na jego dzieci, których jest opiekunem. Dłuższy czas wprawdzie majętność ta nie dawała właścicielom żadnych dochodów, gdyż w roku 1863. znaczne fabryki machin i budynki gospodarcze spalone zostały do szczętu i zrabowane przez Moskali. Ponik został oddany przez właścicieli w dzierżawę najzacniejszemu i najszlachetniejszemu włościaninowi, który gdy pobudował co było najpotrzebniejsze, od tego czasu płaci najregularniej czynsze dzierżawne, podnosząc takowe rok rocznie z własnej woli. Dziś dzięki Bogu, od lat kilku J. N. Gniewosz i jego rodzina, utrzymują się z tych dochodów, o czem nawet we Lwowie i w kraju przekonał się niejeden zacny obywatel naocznie. A ktoby powątpiewał i mógł myśleć, że żyjemy „Szweiggeldami", jak ex-notaryusze, ten niech raczy zajrzeć do naszej redakcyi, aby nabyć innego przekonania.

Przeciwko Janowi Lamowi wytoczyliśmy skargę do c. k. Prokuratoryi Państwa.

W artykułach tych nawet ślepy przejrzy, czytając obronę różnych szubrawców, jaką tam rolę odgrywają kubany i Szweiggeldy.

Jan Lam odważył się naruszyć p. Kazimierza Mołodeckiego, byłego właściciela Brodów. Dlaczegoż nie przedstawił na miejsce Köwesza syna księcia kuratora, a właściciela Bursztyna. Ten byłby daleko właściwszy i znajdowałby się w lepszych warunkach pod bezpośrednim okiem zacnego ojca kuratora.

Dziś możemy tylko poręczyć szan. Czytelnikom, że jeżeli się zaliczają do naszych politycznych przyjaciół, to nigdy się z powodu tego nie będą potrzebowali rumienić. My albowiem uważamy napaści te jako prawdziwą Łaskę Bożą, która nam umożebnia przedstawienie całemu krajowi i Polsce w całej ohydnej nagości tej Czarnej bandy.

Warszawa o Janie Lamie.

W 21. Nrze *Prawdy*, w artykule pod tytułem „Liberum veto," napotykamy taką notatkę:

„Krótka pamięć Lama i jego hełm rycerski. — Inwentarz zrujnowanego talentu. — Odgrzewane koncepty. — Głowa do pozłoty."

Autor artykułu polemizując z kronikarzem *Biesiady* pisze, że czytając dwie kroniki Lama przeciw *Prawdzie*:

„Nie tyle szanowny, ile dawniej dowcipny a dziś zniedołężniały humorysta zapomina naraz o wszystkich paszkwilach, jakie napisał, o wszystkich procesach, jakie mu wytaczano, o wszystkich rękach, przez które przechodził, nawet o wyznaniach swoich przed sądem co do sprężyny kierującej jego piórem — i na grzeczną uwagę p. Rewery odpowiada brutalstwami. Z tą łatwością, z którą przeskakiwał z obozu do obozu, z dziennika do dziennika, aż wreszcie drogą licytacyi dostał się do miejsca, które najbardziej opłuł, do urzędowej *Gazety lwowskiej*, z tą samą — mówię — łatwością zrzuca dzwonkami obwieszoną czapkę „grubego a sprośnego Marchołta," i wkłada na głowę hełm rycerski. Gratulire, k. k. Ritter von Gulden. Bardzo pięknie — tylko poczekajmy zapust i maskarady. Tymczasem zaś możemy pomówić bez przebierania się. „Koroniarz w Galicyi", „Głowy do pozłoty", „Wielki świat Capowic", dawniejsze kroniki, były to piękne strumienie humoru i objawy wielkiego talentu, które my dotąd szanujemy. Ale od lat kilku, panie Lamie zużyłeś się tak dalece, że przedrukowywane w Warszawie twoje fejletony budzą politowanie; jeszcze robisz, ale nie masz natchnień, nie mogąc trzęsącemi się nogami pospieszyć za rydwanem postępu, pokazujesz mu zdala język; tak wyczerpałeś się z ostatnich zasobów swego dowcipu, że nawet w obrzygującej nas kronice pożyczasz sobie z dawnych swoich konceptów anegdotę o Szczepańskim i księciu d'Este, sprzedając ją czytelnikom jako nową. Muza, która cię tak długo kochała, dziś płacze, widząc żeś został zdziecinniałym Jowialskim. Jeszcze jeden koncept lub żart tłusty, jeszcze dwa, trzy, dziesięć, ale to wszystko, na co się zdobędziesz. Publiczności pytającej czy umiesz pisywać i artykuły oryginalne? możesz tylko już dziś odpowiedzieć, jak Szczepański księciu d'Este: Nein, Hochheit, ich übersetze — tłomaczysz gazety wiedeńskie lub swoje dawne pomysły.

Mówię to bez gniewu, ale ze smutkiem, ze smutkiem prawdziwym, widząc, że autor, który tak ośmieszał „Wielkie światy Capowic", stał się zbyt wcześnie „głową do pozłoty."

Na innym miejscu czytamy znowu o Lwowie:

„Szafowanie groszem publicznym i obracanie go na własne potrzeby staje się u nas formalnie zwyczajem narodowym. Włosy na głowie stają, gdy słu-

chasz opowiadań o tem co się dzieje, czego jednak ręka sprawiedliwości dosięgnąć nie jest w stanie. Takie stosunki istnieją np. w fundacyi hr. Skarbka. Długi szereg lat rządził się tam, jak szara gęś znany łapownik i kubaniarz," jak go publicznie w każdym numerze *Strażnicy polskiej* nazywał Gniewosz, i cóż powiecie na to, mimo dowiedzionej litanii nadużyć, książę Jabłonowski, kurator fundacyi, chciał go jeszcze zatrzymać na zajmowanej posadzie. Dopiero namiętne wystąpienie *Kuryera lwowskiego* sprawiło, że Köwesza napędzono, chociaż przed kratki sądowe nie pociągnięto.

Nietolerancya żydowska.

Ile intolerancyi okazują żydzi katolikom, jak często szydzą publicznie z religii i obrzędów katolickich, o tem wspominaliśmy po nazwisku wskazując wypadki i osoby. Dzisiaj przychodzi nam nowy zamach zagorzałego żyda zanotować, a akta odpowiednie zaczerpnęliśmy z tutejszego Konsystorza Biskupiego, do którego pewien proboszcz przysłał prośbę, w której pisze:

„Przedkładam list otrzymany 2. maja br., a według stampilii oddany na pocztę w Krakowie. Odpis tego listu przedkłada podpisany dlatego, gdyż on dowodzi raz, że żydzi żyją chlebem ludu polskiego, i że księża wyjątkowo tylko pracują nad krzewieniem wstrzemięźliwości, inaczej gdyby wszyscy jednako działali, ja wyjątkowo nie odebrałbym był owego listu z Krakowa. Przeciw żydom nie tylko nie występował podpisany nigdy nieprzyjaźnie, ale przeciwnie nie raz nauczał parafian, że żydzi są naszymi bliźnimi.

Pogróżki napiętnowane jadem złości żydowskiej pochodzą stąd, że w parafii tego i przeszłego roku przeszło tysiąc parafian ślubowało na wstrzemięźliwość. List zaś w oryginale brzmi:

Euer Wohlgeboren! Laut Aussage mehrerer von Ihrem Kreise dass Sie das arme Volk (Juden) verfolgen, dass Sie nicht einmal Brot zu essen haben. Ich als Rabbi ersuche Sie, dass Sie von Ihren allen Plänen zurücktreten sollen sonst werden gezwungen sein alle heillige Kraft auf Sie zu legen, den Sie als Wissenschaftlicher Mensch werden wohl gelesen haben, waz für ein Ende die Judenverfolger hatten, und werde Ihnen nur ein kleines Beispiel zufügen: Faro als erster König von Egypten wurde mit 12 Strafen gestraft, und er hat nichts gewakt, daher wollen Sie sich das merken und von allen Beispielen zurücktreten. Ich will Ihnen noch ein Beispiel bringen: der König Dawid hat in Psalm (Capitel 7) folgendes gedichtet: (tu tekst hebrajski który opuszczamy) d. h. „wer für Jemanden eine Grube grabt, fält selbst hinein". Das ist der Entschluss meines Schreibens den der Ewige sagt: dass der Fräfler soll von seinen schlechten Thaten zurücktretten so wird er leben bleiben. Hoffentlich werden Sie sich das zum Herzen nehmen, und werden von Ihre Plähne (gegen die Juden) abstehen. — Achtungsvoll (podpisano) Rabbi (יוסיא).

(Odpis wiarogodny z zatrzymaniem błędow.)

Żydzi oburzą się na nas, bo oni nie lubią, ażeby ktokolwiek brał się do krytyki ich postępowania w obec żydowskiej i nieżydowskiej ludności, ich dzienniki krzyczą zaraz w niebogłosy i nawołują w imię zasady tolerancyi religijnej do milczenia, a tych ktorzy w imię prawdy i debra społeczeństwa sprawki ich podnoszą, piętnują jako zacofanych, zawiścią religijną tchnących, i wszelki apparat potężnych swych czynników tajemnych i jawnych poruszą, byle takie głosy zabić! A przecież jeżeli jaki naród, to Polska, jeżeli którzy ludzie, to Polacy z pomiędzy ludów całej Europy nadawali od wieków żydom prawa i wszelką niezależność tak pod względem religijnym jak i społecznym.

I dzisiaj nie rzucamy się na nich, ale wolno nam żądać, aby publicznie religii nie wyszydzali, na duchowieństwo się nie rzucali, ludu nie demoralizowali, nie ogłupiali i nie wyzyskiwali. A nie twierdzimy tego o wszystkich, ale o tych, którzy osobiście są nikczemni i szkodliwi. — „Człowiek człowiekowi nie powinien być wrogiem", oto zasada humanitaryzmu, a tej zasadzie sprzeciwiają się przesądy żydowskie, bo interesa i spekulacye ich na tem tracą.

Karczmy wiejskie i szynkarstwo żydowskie, to najgorsza choroba społeczna, to rak toczący zdrowe społeczeństwo polskie, to rana odwieczna zatruwająca organizm nasz i gubiąca go materyalnie i moralnie. Karczma polska to hańba nasza i przekleństwo! — Wszystko co się pisze pięknie i gładko mówi o poprawie społecznej, o pracy organicznej, pozostanie bajką, dopóki z pomiędzy nas nie usuniemy karczem, owego siedliska szachrajstw, lichwy, demoralizacyi, owego schroniska złodziei i oszustów, owej potężnej machiny ubezwładniającej najcenniejsze prace, najszlachetniejsze porywy i przedsięwzięcia czystej krwi patryotów.

Poprawa tych błędów leży w rękach duchowieństwa, stąd ta zawiść przeciwko niemu. Dalej w ręce szlachty, która wypuszcza karczmy żydom. I szlachcie naszej przypominamy złotą uwagę Stan. Staszica, jaką wypowiedział w „Przestrogach dla Polski": „Niebaczny dziedzicu! nie na pijaństwie, nie na zubożeniu chłopa zasadzaj powiększanie twoich dochodów. Bo to oszukanie, to obdarcie chłopa z ostatniego grosza przez żydów, narusza jego gospodarstwo. Tak zamiast bogacenia się, kraj niszczysz i sobie upadek gotujesz. Każdy złoty, którym żyd twoją propinacyę podwyższa, to ten złoty, którym cię uboży".

Te krótkie uwagi niechaj będą odpowiedzią rabinowi na list tak groźny i szatański, jaki ośmielił się wysłać do kapłana patryoty, a dla ludzi dobrej woli wskazówką, jakimi to patryotami są niektórzy żydzi między nami mieszkający. *(Gwiazdka Ciesz.)*

KRONIKA.

Książe Karol Jabłonowski, kurator Fundacyi skarbkowskiej wyjeżdżając do Wiednia, oświadczył głośno na dworcu kolei Karola Ludwika, iż jedzie do Wiednia głównie po to, aby wyjednać w Ministeryum spraw wewnętrznych, zakaz wydawania *Sztandaru polskiego* i *Strażnicy polskiej*.

My zaś stanowczo przekonani jesteśmy, że c. k. Ministeryum w konstytucyjnej monarchii, nie zechce się mieszać w prywatne sprawy nieuczciwych bankrutów — gdyż od tego są c. k. Sądy karne.

Na chorego inżyniera F. O. złożyli: Ks. kan. Lewandowski 1 zł., A. K. 1 zł., NN. 1 zł., Nieznajomy nieznanemu 1 zł., S. 1 zł., K. 50 ct., J. G. 1 zł., J. N. 1 zlr. Z budowy kolei galicyjskich — ani centa. — Razem 7 zł. 50 ct.

„Po ukazu!" Jubileusze tak weszły w zwyczaj, że aby tylko takowe obchodzić, wystarczą 20-letnie operacye czyjegoś żywota, by podniosły sławę jakiego śmiertelnika. Otóż taki jubileusz zapowiedziano murzynom kolei czerniowieckiej, recte urzędnikom wszystkich stopni i nakazano dla p. Ziffra składać datki na prezent. Któż jest p. Ziffer? Zapytanie takie jest zupełnie zbyteczne w Galicyi, albowiem Galicya musi znać, a przynajmniej dobrze pamiętać Offenheima i p. Ziffra. Jeżeli zaś p. inspektor kolei czerniowieckiej Ludwik Wierzbicki nakaże coś i powie: „byt' po siemu!" — to biada białemu murzynowi kolejowemu, aby śmiał protestować, że on by wolał bochenek chleba, lub coś podobnego kupić dla dzieci własnych, a na prezenta jubileuszowe go nie stać. I w taki też to sposób złożono setki dla p. Ziffra, dygnitarza jeneralnej dyrekcyi kolei czerniowieckiej. Mniejszaby już było nareszcie i o to, gdyby nie dalsza ciekawa procedura, godna zaiste takiego kacyka kolejowego, inspektora, a przedewszystkiem rodaka patryoty, otoczonego niezwykłą aureolą, poświęcenia, pracy obywatelskiej, wszechwiedzy, bo w kierunkach, jakichkolwiek by kto śmiał zażądać — i — blagi.

Otóż gdy prezent był gotowy, a jaki — oko śmiertelnika, a urzędnika kolejowego nie widziało, ani nie miało o nim pojęcia, gdyż dosyć zaszczytu dla białego murzyna, iż mu nakazano złożyć kontrybucye, oglądanie zaś daru wyglądałoby na niepotrzebną ciekawość, lub uwłaczającą p. inspektorowi kontrolę, — wydał p. inspektor znowu ukaz, aby podpisywano kaligraficznie i czysto jakiś adres dziękczynny czy też temu podobny dokument lojalności i miłości białych murzynów dla p. Ziffra. Postanowienie to pana inspektora rodaka, ogłoszono po wszystkich biurach, a w kancelaryi na ten cel przeznaczonej, postawiono urzędnika, wobec którego każdy murzyn biały, recte urzędnik kolejowy musiał podpisać imię i nazwisko swe kaligraficznie. Co zaś ci wszyscy podpisywali, to wiadomem tylko jest dotychczas p. inspektorowi Wierzbickiemu, w którego przekonaniu wiadomość tego, co taki biały murzyn podpisuje, byłaby profanacyę wielkiego pomysłu jubileuszowego, który wyszedł z twórczej głowy p. inspektora. Zaiste — czynownicy moskiewscy mogliby się u nas w Galicyi od naszych rodaków jeszcze wiele nauczyć.

Anna z Demingów Kalinowska. Jest to staruszka 80 letnia, pochodząca z zamożnego i starego rodu, a wdowa po Kalinowskim patryocie, ktory w r. 1863 stracił nietylko resztki mienia, ale i życie. Wdowa zmuszoną była uciekać — przybyła do Galicyi, zamieszkała we Lwowie wraz z córką i wnuczką. Niestety te wkrótce jedna po drugiej pomarły na suchoty, a staruszka pozostała sama, wprawdzie wśród rodaków, ale pomimo to obcych ludzi. Chcąc utrzymać chociaż najlichszy byt, zmuszona była pozbywać resztki pamiątek drogocennych do ostatniej odrobiny. Ratowała się w Bankach zastawniczych, a gdy i to nie starczyło, pożyczała, dając różnym miłosiernym osobom kwity Bankowe w zastaw. Te miłosierne osoby nie omieszkały jednak korzystać z dobrej sposobności i porobiły bardzo dobre interesa, wykupując cenne fanty.

Jedyna opiekunka, która hojnie wspierała staruszkę, księżna Jadwiga Sapieżyna, nie mieszka już we Lwowie, a więc i to ostatnie miłosierdzie ustało. Anna Kalinowska jestto osoba z wyższem wykształceniem i dziwnej szlachetności. Dziś jestto nędzarka w całem znaczeniu tego słowa. Chwieje się często z głodu i z braku warunków utrzymania sił fizycznych. A mieszka kątem u również biednej osoby. Udawała ona się w ostateczności do osób bogatych, a znakomitych rodów, lecz narażona na brutalne obejście lokai, którzy jej nawet grozili zepchnięciem ze schodów, nie śmiała już błagać pomocy. Obecnie położenie jej jest bez jutra; słowem, powolne konanie w nędzy. Czy się nie znajdzie ktokolwiek, aby tej nieszczęśliwej dopomódz?

Wydawca i odpowiedzialny redaktor J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.